

„Daję ci wiersz, daję ci rzecz”. Jubileusz literacki Wacława Tkaczuka

Iwona Smolka: Witam państwa bardzo serdecznie w imieniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Domu Kultury Śródmieście w Warszawie na jubileuszu literackim Wacława Tkaczuka. Proszę o gromkie brawa. Laudację wygłosi Piotr Matywiecki, a wiersze Wacława Tkaczuka będzie czytać Andrzej Ferenc.

Zacznę od przedstawienia jubilata. W innych okolicznościach to on zawsze przedstawia poetów i pisarzy. Wacław Tkaczuk od bardzo wielu lat towarzyszy tym wszystkim, którzy opublikowali przynajmniej jeden wiersz nawet w najbardziej prowincjonalnym czasopiśmie. Myślę, że nie ma takiego poety w Polsce, któremu Wacław Tkaczuk nie poświęciłby swojej uwagi. Ale o tym za chwilę. Wacław Tkaczuk obchodzi jubileusz siedemdziesięciolecia urodzin, w co trudno uwierzyć. Wacławie, przyjmij moje najlepsze życzenia.

W roku 1956 jako czternastolatek, genialne dziecko, Wacław Tkaczuk opublikował swój pierwszy wiersz w śląskim tygodniku „Przemiany”. Przyszły jubilat ukończył szkołę w Mikołowie, gdzie teraz bywa jako juror czy uczestnik spotkań w Instytucie Mikołowskim. Po maturze Wacław Tkaczuk wyjechał z Mikołowa do Lublina. Ukończył tam polonistykę na KUL-u, kształtując swoje czytanie i rozumienie tekstu poetyckiego bezpośrednio w kręgu mistrzowskiej szkoły interpretacji, jaką uformował profesor Czesław Zgorzelski. Jednocześnie uczęszczał na wykłady, a bywało, że także na seminaria filozoficzne oraz, bardzo pilnie, na sesje tak zwanych Tygodni Filozoficznych. Dużą rolę w rozwijaniu i utwierdzeniu tych zainteresowań odegrało zetknięcie się z myślą i postawą filozoficzną prof. Stefana Swieżawskiego. Dziedzictwo duchowe, które wynosi się z takich kontaktów, okazuje się później trudne do przecenienia.

Następnie Wacław Tkaczuk współpracował w Warszawie z różnymi czasopismami literackimi. W 1968 roku przyszły jubilat otrzymał nagrodę Orientacji Poetyckiej „Hybrydy” i Wydziału Kultury m.st. Warszawy – „Nike Warszawska” za utwór *Wstęp do poematu*, który ukazał się w poprawionej wersji w tomie *Skrzydło liścia* dwa lata później. Potem zapadła cisza, tak jakby Wacław Tkaczuk przestał pisać wiersze. Tak było?

Wacław Tkaczuk: Kilka razy tak było.

Iwona Smolka: W roku 1977 wychodzi drukiem bardzo ciekawy tomik poetycki zatytułowany *Co z ognia – co z wody*, a następnie przyszły jubilat milknie już na dłużej jako poeta. W tym czasie daje się poznać jako krytyk literacki. Jednocześnie zaczyna też pracę redaktora, kogoś, kto towarzyszy nieustannie pisarzom, pracując w „Za i Przeciw”, gdzie prowadzi dział kulturalny, w którym prezentuje również poetów. Kiedy przyglądam się drodze zawodowej jubilata, odnoszę wrażenie, że Wacław Tkaczuk oddał siebie twórcom literatury, jednocześnie rezygnując z siebie jako poety. Mam poczucie, że skoncentrował swój talent i wszystkie wysiłki, żeby poznać, zinterpretować, dociec,

kim jest twórca, o którym będzie chciał pisać, a potem mówić. Wacław Tkaczuk, zanim trafił do radiowej Dwójki, w latach 1981–1985 pracował też w redakcji tygodnika „Antena”. Ukazywały się tam omówienia programów telewizyjnych i radiowych. W tym czasopiśmie pracował także Jan Śpiewak (junior).

Poznałam Wacława w roku 1990 w Programie Drugim Polskiego Radia. Był tam wicedyrektorem. Od razu zdałam sobie sprawę, że mam do czynienia z prawdziwym erudytą, z kimś, kto traktuje poezję i literaturę niezwykle poważnie. To właśnie do tej pory zachwyca mnie w Wacławie. Dzięki takim ludziom można mieć nadzieję, że istnieje więcej osób – to między innymi słuchacze audycji Wacława Tkaczuka – dla których literatura jest czymś bardzo ważnym, czasem nawet traktowana bywa śmiertelnie serio.

Wacku, zanim zacznę mówić o nagrodach, które otrzymałeś i o innych oficjalnych ukłonach, które ci złożono, chciałabym zapytać, jak to się stało, że opublikowałeś tak mało książek poetyckich? Wydałeś tomiki w roku 1970 i 1977, a teraz otrzymałam od ciebie maszynopis tomu *Wypisuję się z Księgi Guinnessa*¹. Powinieneś się trochę wstydić.

Wacław Tkaczuk: Owszem, trochę się wstydzę. Moje milczenie wynikało po części z tego, że współcześni poeci poszli tak daleko w swojej twórczości w kulturowość, metafizykę i inne wysokie rejony, że trudno dziś przemówić głosem poetyckim wprost od siebie, a tak właśnie wolę i tego właśnie chciałbym. Ponadto należę do osób, którym mówienie przychodzi łatwiej, z pisaniem jest gorzej, bo mam ogromne poczucie odpowiedzialności, a może nawet nadodpowiedzialności za to, co zostanie utrwalone.

Dla wielu moich dawnych, a zwłaszcza nowych przyjaciół i znajomych wiadomość o tym wieczorze okazała się zaskoczeniem nie mniejszym niż dla mnie. Marek Gajdziński, pisarz z Sopotu, który teraz przenosi się do rodzimego Poznania, zapytał mnie, jak będzie wyglądało to spotkanie. Powiedziałem, że wiersze będzie czytał Andrzej Ferenc. „Ale co on będzie czytał, bo ja słyszałem kiedyś twoje wiersze tylko raz w Dworku Sierakowskich w Sopocie”. No cóż, jeśli mam być ścisły – przecież nie wszyscy są tak dociekliwi jak Iwona Smolka, która śledząc moją twórczość, dotarła aż do redagowanego przez Wilhelma Szewczyka czasopisma „Przemiany” z 1956 roku – to powiem, że przygotowując się do wieczoru jubileuszowego, policzyłem swoje wiersze i okazało się, że napisałem około sto pięćdziesiąt, do których się przyznaję. Zważywszy na to, że Wisława Szymborska do momentu otrzymania Literackiej Nagrody Nobla była autorką trzystu pięćdziesięciu, jasne jest, że nie dogonię już poetki, ale przecież nie mam takich ambicji. „To gdzie są te wiersze?” – spytał przyjaciel. „Gdzie są te dwa tomiki?” Nie mam ich – odpowiedziałem. Jeden opublikowany został przez Iskry w 1970 roku w nakładzie 800 egzemplarzy, a drugi wydany w 1977 roku w liczbie 1000 egzemplarzy przez Instytut Wydawniczy Nowum. „Wrzuć to na Facebook – usłyszałem życzliwą radę – i wszystkie wiersze będą dostępne”. Ci, którzy wiedzą, że nie mam kontaktu ani z klawiaturą komputerową, ani z portalami społecznościowymi, zrozumieją także, że nie mogłem uznać tego za trafioną propozycję.

¹ Obecny na wieczorze jubileuszowym Wacława Tkaczuka prezes Wydawnictwa Iskry – Wiesław Uchański – zaproponował poecie wydanie tego tomu, który ukaże się pod tytułem *Na więcej, na przepadłe* (z zachowaniem oczywiście cyklu *Wypisuję się z Księgi Guinnessa*).

Moje milczenie poetyckie tłumaczy się również tym, że wiersze, które piszę, wynikają z dwóch źródeł. Jeśli już piszę, to po pierwsze po to, żeby porozumieć się z samym sobą (zważywszy na to, jak bardzo czasem bywam ze sobą skłócony, powinienem pisać dwa teksty dziennie). Istnieje też drugi, znacznie poważniejszy partner mojego poetyckiego dialogu. To dość dyskretna sprawa, więc w tej chwili łamię tę dyskrecję. Piszę wiersze, żeby porozumieć się z Bogiem. Tego nie wypada komentować ani rozwijać. Albo mi się uda – albo nie.

Chciałbym dopowiedzieć państwu, że zestaw stu pięćdziesięciu wierszy, których się doliczyłem, nie obejmuje utworów napisanych przeze mnie w czasach wczesnej młodości. Wtedy rzeczywiście miałem w tej dziedzinie wielki rozpęd. Ponadto należę do pokolenia, w którym pisanie wierszy stanowiło niejako obowiązek młodego człowieka, który sam wcześniej nazywał się poezji. Mam ogromny dług wdzięczności wobec śląskiego środowiska literackiego – Wilhelma Szewczyka, a może jeszcze bardziej Zdzisława Hierowskiego, który redagował magazyn „Trybuny Robotniczej”. Wierszy rzeczywiście napisałem wtedy sporo. Zdzisław Hierowski, będący w Katowicach także przedstawicielem tygodnika „Odra”, który zastąpił wrocławskie „Nowe Sygnały”, przesłał moje wiersze Tymoteuszowi Karpowiczowi. Poeta wybrał z nich trzy i wydrukował bodaj w 1959 roku. To właśnie te teksty napisane jeszcze przed maturą mógłbym wliczyć do mojego autorskiego quasi-kanonu, czyli właściwego dorobku poetyckiego. Moim zdaniem tylko one przetrwały próbę czasu. Potem starałem się jeszcze trochę publikować w czasie studiów. Nie robiłem tego zbyt często. Teksty ukazywały się w bardzo różnych czasopiśmiech. Wśród nich były „Tygodnik Powszechny”, „Współczesność” oraz kilka jeszcze innych nieistniejących już dziś periodyków. Przygotowując drugi tom poetycki, uznałem, że skoro jednak dalej pisuję wiersze, to powinienem je – dla honoru – od czasu do czasu publikować. Udało mi się zyskać przychyłość redaktorów miesięcznika „Twórczość”. W ten sposób zaspokajałem swoje ambicje poetyckie mniej więcej do roku 2002 lub 2003 – raz na pięć lat drukowałem garść wierszy. Powiem żartem, że skutkiem tego bałem się zaprosić na dzisiejsze spotkanie pana Janusza Drzewuckiego, redaktora działu poezji miesięcznika, żeby nie pomyślał, że robię to, szykując dla niego jakieś wiersze. Panie Januszu, nie szykuję – od ośmiu lat nie skończyłem ani jednego tekstu poetyckiego, ale – uwaga – mogę skończyć. Bezinteresownie więc cieszę się, że widzę na sali redaktorów „Twórczości”, Janusza Drzewuckiego i Bohdana Zadurę.

To właściwie wszystko, co mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, nie rozwijając dwóch wątków zasadniczych, czyli tego, że piszę nie po to, żeby wyrażać treści społeczne czy metafizyczne, ale dlatego, żeby porozumieć się z Bogiem i z samym sobą.

Iwona Smolka: Bardzo ci dziękuję za to samousprawiedliwienie, a teraz proszę pana Andrzeja Ferencę o przeczytanie wierszy. Niech zabrzmi poezja Wacława Tkaczuka.

Andrzej Ferenc:

Całuję – i bierzesz z moich warg niknącą już
na zawsze gwiazdę. Nie myślę o niczym,
wszystkiego się spodziewam, i nic

mnie nie zawstydzą. Ani przez chwilę nie wierzyć,
że będziemy szczęśliwi – czy to możliwe?

Nie ma z czego złożyć tej miłości, skleić
i sklecić, jak z broni złożonej wykuwa się
lemiesz – w przysłowiach przynajmniej. Czy
cokolwiek zostało z naszego pierwszego dnia?
Noc – zewsząd? Jej włosy, jej liście, kamienie
i sznury napierają na nas, i przestrzeni
jest tylko tyle, by rękę wyciągnąć, a serce,
najniższa ze wschodzących gwiazd, zadrży
na ciemnej fali zakrywającej usta i oczy.

To znów perkusja, to śnieg ogniem się zajął.
Od śręzogi drgnęła, o świcie, igła w kompasie.
To bal się toczy. To koronę z jabłoni drze zając.
Śmieszne, jak ramię obnażone trwoży.

Że północ bije? To już, zaiste, nic nie znaczy.
Kto jeszcze zechce dojść tu czegoś, kto zasię
z rozmysłem siebie zdradzi czy wyśmieje?
Po tanie wino dziś młodszy ode mnie – w kolejce.

Niech się wydaje, że czas wątek znowu podjął.

A krew nasza, gdzie dopływa? Do laboratoriów
zaledwie. Próby przechodzi w poradni „W”.

Takie to są patykiem malowane dzieje.

Jak malwy więcej sukienkami!...
Łza się osunie, nie popłami –
skrzypce zamieni w szklivo płynne
i będą bić! – jak deszcz o rynnę.

Jest ściana płaczu. Ja wiedziałem.

Dzień się skończył: noc daje i noc odbiera.

Świt wstaje, żółta perła utoczona z nikotyny.

Przyjaciel usypia w korytarzu pociągu, szyny wymknęwszy się spod kół, spetzają do morza.

Zgubił szalik, wiezie żonie na urodziny dwa cukierki w kieszeni bluzy i ranę na prawym barku, powiew jej nie przemył, może uleczy plaster pomidora pławiony w occie i oliwie, tak ciężkiej jak nóż.

Przez jego sen uśmiecham się do swoich snów.

Z kwiatów na grobie leci ku mnie pszczoła.
Z kwiatów? – Z przepaści, dokąd kwiat się chyli przed wyciągniętą ręką. Z czarnego leci koła, z obręczy wytoczonej przez zgasłą już gorączkę!...
A tam? Pyły w swym nurcie skrzynię niosą? –

Ziemia jak powódź nas zabiera. Odpływamy?

Krok, zdaje się, starczy zrobić... To serce myli!
A wstecz spojrzeć? Czy zamienię się w posąg? –
Rozłączeni, oboje jednak grzebie nas słońce –
Z Tobą jest ład zwiru, ze mną tlenu zamęt – –

Wacław Tkaczuk: To były wczesne wiersze z tomu *Skrzydło liścia*, który ukazał się w 1970 roku.

Iwona Smolka: Pracowałeś przez parę ładnych lat jako dziennikarz. Jak udawało ci się pogodzić czytanie literatury, pisanie o niej i bycie w środku rzeczywistości literackiej z tym, co niesie ze sobą praca dziennikarska – doraźnością, szybkością, rozproszeniem?

Wacław Tkaczuk: Doznawałem tych wszystkich doli i niedoli, może nawet mocniej z tego powodu, że środowisko, w którym pracowałem – mogę to powiedzieć nie tylko z perspektywy czasu, bo wcześniej także miałem to poczucie – nie było najciekawsze. To nie przeszkadzało mi jednak w zajmowaniu się również wtedy literaturą. Pamiętam z tamtych czasów kilka wywiadów, które zrobiłem. Może są one warte wzmianki. Nie były wprawdzie przeprowadzone w obowiązującej dziś konwencji ani nie przypominały „ping-ponga” à la Robert Mazurek [cotygodniowych wywiadów „Rozmowa Mazurka” publikowanych w latach 2006–2009 na łamach „Dziennika”,

a później „Rzeczpospolitej” – dopisek redakcji] z wykorzystaniem przede wszystkim mechanizmu prowokacji. Przeprowadziłem rozmowy z Janem Parandowskim, Anną Kamieńską, Anną Pogonowską, Stefanem Treuguttem (tekst publikowany był bodaj na łamach „Anteny”), a także Wojciechem Natansonem (dwukrotnie). Wiem, że miało to sens.

Uciekając od doraźności, która jest nieodłącznym elementem pracy dziennikarskiej, uaktywniłem się w działalności krytycznoliterackiej na łamach „Więzi” dzięki Jurkowi Krzysztoniowi. Pisałem tam w latach 1967–1969 o książkach, które nazwałbym dziś lekko ryzykownymi. Były wśród nich *Obrączka ze słomy* Krystyny Nepomuckiej czy tom opowiadań Andrzeja Brychta *Wycieczka Auschwitz Birkenau*, ale także tutaj opublikowałem recenzję tomu opowiadań Edwarda Stachury *Falując na wietrze*, jedyny tekst, jaki napisałem o Stachurze za jego życia. W tym czasie doraźnie współpracowałem jako recenzent z „Twórczością”. Do Henryka Berezy skierował mnie Edward Stachura. Kiedy skarżyłem się Stedowi (wyjeżdżał często) w jednym z listów, że z Henrykiem ciężko się rozmawia, otrzymałem odpowiedź: „pamiętaj, że on za dużo nie mówi, swoje już w życiu przeszedł”. Chciałbym przy okazji dodać, że bardzo brakuje mi dzisiaj Henryka Berezy na tej sali. Niedawno obchodziliśmy urodziny Henryka Berezy po raz pierwszy bez jego udziału.

W obowiązkach dziennikarskich zdarzały się też jasne strony. Należały do nich moje dwa wyjazdy do Rzymu – raz na konklawe po śmierci Pawła VI i drugi raz na konklawe po krótkim pontyfikacie Jana Pawła I. To były bardzo ważne momenty, które otworzyły mi oczy na wiele spraw. Innego ważnego „otwarcia oczu” doświadczyłem – o dziwo – w Mongolii, do której trafiłem w ramach wyjazdu z Towarzystwem Przyjaciół Nauk o Ziemi. Ten kraj jest dość dobrze opisany w polskich tekstach etnograficznych. Mongolia stanowiła pole, gdzie nasi etnografowie mogli bez większych przeszkód prowadzić badania dotyczące społeczności tamtejszej społeczności. O tym kraju napisano wiele także w polskiej poezji – mam nawet w domowych papierach podręczny zbiorek wierszy przygotowany na mongolską wizytę Jana Pawła II, która zresztą nie doszła do skutku. Te regiony były swego rodzaju namiastką egzotyki, wśród tekstów poetyckich są między innymi niezłe wiersze Jana Bolesława Ożoga, Tadeusza Różewicza, Bogdana Ostromeckiego, Leszka Długosza. O Mongolii długo można by opowiadać. Dość wspomnieć, że miałem – zgodnie z moimi obowiązkami dziennikarskimi (redakcja tygodnika „Za i Przeciw” współfinansowała ten wyjazd) – zając się buddyzmem w Mongolskiej Republice Ludowej. Pierwsze zdumienie przeżyłem, gdy poszedłem, umówiwszy się wcześniej telefonicznie, do funkcjonującego wtedy od niedawna jedyne klasztoru buddyjskiego w Ułan Bator, a na miejscu okazało się, że składam wizytę w Urzędzie do Spraw Wyznań, czego można było się dowiedzieć z wielojęzycznej (między innymi po rosyjsku, ale i po angielsku) tablicy widniejącej przy wejściu do kompleksu budynków. Kiedy wdałem się w rozmowę z urzędnikiem (po drodze minąłem mnicha, który zajmował się naprawą obuwia), usłyszałem: „Buddyści uczestniczą na statusie obserwatora w Chrześcijańskiej Konferencji Pokoju w Pradze (była to międzynarodowa organizacja inspirowana przez wiadome siły). A jak przedstawia się teraz sytuacja Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce, kiedy zarządza nim Aleksander Skarżyński?”. Przypomnę, że był to w owym czasie kierownik Urzędu

do Spraw Wyznań. Rozmawialiśmy po rosyjsku. Odpowiedziałem: *Razreszytie, no poka czto, kardinał Wyszynskij. Padła pełna współczującego zrozumienia replika: Da, ja zna-ju, u was jeszczto jest trudnostil!* To mi dało do myślenia. Zaczętem zastanawiać się, gdzie ja pracuję, jeśli zostałem potraktowany najwyraźniej jako „swój”.

Iwona Smolka: Z tego czasu pochodzą twoje przyjaźnie, które są niezwykle trwałe. W twoim pisaniu krytycznym, czy życiopisanium, nazwiska tych przyjaciół pojawiają się do tej pory. Ta wierność jest sprawą zasadniczą.

Wacław Tkaczuk: Mam dług wdzięczności wobec ludzi, którzy mnie formowali. Jednym z nich jest profesor Czesław Zgorzelski, człowiek nadzwyczajny, który uchodził za osobę bardzo skrupulatną, czasem w tym nawet bezduszną. Był wymagający. Zaskoczył mnie empatią i konkretną pomocą, gdy znalazłem się w trudnych sytuacjach życiowych. Zawiodłem jego nadzieje, ponieważ profesor uważał, że powinienem zająć się nauką. Ale i na drodze, którą wybrałem, moje długie wdzięczności wobec niego są nadal ogromne. Miałem okazję spłacić je w niewielkim stopniu, łamiąc prawo autorskie i przedrukowując na łamach „Sycyny” – dzięki uprzejmości Wiesława Myśliwskiego – z okazji dziewięćdziesiątych urodzin profesora jego debiut naukowy. Musiałem naruszyć prawo – wspólnie z Wiesławem Myśliwskim, moim sojusznikiem w tym przestępstwie – żeby zrobić profesorowi niespodziankę. Kiedy już tekst się ukazał, odebrałem o 23.00 telefon od dziewięćdziesięcioletniego zaskoczonego i ujętego profesora, nie tylko – jak mówią Rosjanie – *odobrit* pomysł, lecz także był bardzo wdzięczny i mnie, i redakcji „Sycyny”.

Jeśli chodzi o przyjaźnie literackie, to z nimi jest tak jak z sukcesją apostołską. Tego święcił taki biskup, konsekrowany wcześniej przez tego a tego biskupa, ten zaś... Jeśli konsekwentnie podążamy tymi śladami, dochodzimy do św. Piotra. Gdyby zastosować tę zasadę do moich przyjaźni literackich, można by powiedzieć, że ich św. Piotrem jest Edward Stachura. To właśnie jemu zawdzięczam wieloletnią przyjaźń z Marianem Pilotem i wieloma innymi ludźmi. Jest w tym pewna tajemnica. Czasem pytam młodych poetów, jakiego poetę widzieli pierwszy raz na żywo. Słyszę, że był to Marcin Świetlicki, albo – w najlepszym wypadku – Adam Zagajewski. Ja – to mój przywilej metrykalny – widziałem po raz pierwszy na żywo w 1958 roku w Katowicach podczas wieczoru „Współczesności” Stanisława Grochowiaka, Mariana Ośniałowskiego i Ernesta Brylla. Miał przyjechać Roman Śliwonik, ale niestety wdał się w jakąś burdę. Jak państwo pewnie zauważyli – z wyjątkiem Ernesta Brylla – to jest lista nieobecnych. Wiem jednak, że pierwsi poeci, których zobaczyłem, byli prawdziwymi poetami. Potem, już po mojej maturze – dzięki Korespondencyjnemu Klubowi Młodych Pisarzy działającemu przy Związku Młodzieży Wiejskiej – trafiłem na zjazd tego Klubu. Zorganizowano dla nas cykl spotkań. Jednym z nich było spotkanie ze Stanisławem Piętakiem, który zrobił na mnie ogromne wrażenie swoją powściągliwością, pokorą i refleksyjnością. Ten niesamowity kontakt oddziałał na mnie dużo silniej niż następny wieczór z Mieczysławem Jastrunem, którego wiersze częściej czytywałem, także i z tego powodu, że więcej napisał. Jednak przesłanie Stanisława Piętaka stanowiło dla mnie testament. Od niego pochodzi motto mojego drugiego tomu poetyckiego: „Z kołatki gromu sobie wróż”.

Należę do pokolenia, które miało szczęście być świadkiem nie tylko dożywania, lecz także ogromnej aktywności poetów wielu generacji. Jako młody czytelnik oddawałem się lekturze utworów żyjących jeszcze pisarzy, takich jak Julian Tuwim, Konstanty Ildefons Gałczyński, Kazimiera Iłakowiczówna, potem Jarosław Iwaszkiewicz i Czesław Miłosz. Poezję Miłosza poznałem bardzo wcześnie. Nie trzeba było Literackiej Nagrody Nobla. Jego wiersze pojawiły się na pierwszym roku studiów na zajęciach z poetyki; na ćwiczeniach z wersyfikacji czytaliśmy i analizowaliśmy wtedy tekst *Który skrzywdziłeś człowieka prostego* jako przykład ekspresyjnego wykorzystania akcentu inicjalnego. Na KUL-u dostępne były wtedy niektóre zakazane książki. Dzięki temu – rok po wydaniu – przeczytałem jako smarkacz (niewiele z tego rozumiejąc, dałem się porwać stylowi) *Szkiełce piórkiem* Andrzeja Bobkowskiego, wyszukane w powszechnie dostępnym katalogu Biblioteki Zakładu Historii Literatury Polskiej. Na trzecim roku studiów pisałem pracę pro-seminaryjną o nowelistyce Gombrowicza, przedstawioną w owym czasie na studenckim Zjeździe Polonistów w Krakowie. Los dał mi fory, z których nie zdawałem sobie sprawy, kiedy z nich korzystałem. Nie od razu miałem świadomość tego, ile zyskałem dzięki tym studiom i temu miejscu.

Iwona Smolka: Wacku, teraz czas na laudację, o którą proszę Piotra Matywieckiego.

Piotr Matywiecki: Najpierw wstanę, ponieważ chciałbym, żeby było bardzo uroczyste. Nikt mnie do tego nie upoważnił, ale myślę, że moi przyjaciele – nie tylko poeci obecni na tej sali, lecz także ci, których tu nie ma – dobrze zrozumieją ten gest. Wacławie, chciałem w ten sposób wyrazić największą możliwą wdzięczność za wszystko, co zrobiłeś dla naszych wierszy – zarówno swoim pisaniem, jaki i audycjami, a nade wszystko swoją osobowością.

To nie są zdawkowe wyrazy wdzięczności. Nie chodzi w niej tylko – choć może troszkę też – o zaspakajanie swojej poetyckiej próżności przez to, że usłyszysz się własne teksty w najważniejszej od bardzo wielu lat polskiej radiowej audycji o poezji, audycji, która sama jest poezją, czyli w *Wierszach z gazet i czasopism*, autorskim dziele Wacława Tkaczuka. Wspomniana wdzięczność ma także charakter – jeśli można tak powiedzieć – warsztatowy. To jest rzecz niesłychana – móc na gorąco, w niedługim czasie po opublikowaniu wiersza, usłyszeć go w wykonaniu aktora, usłyszeć, jak ten tekst brzmi w innych niż poety ustach. Każdy twórca wie, jak bardzo taka konfrontacja jest ważna. Co istotne, zyskuje się również szansę na wysłuchanie twoich, Wacławie, bardzo celnych i głębokich interpretacji, które pozwalają nie tylko rozeznać się w tym, co się napisało i czy zrobiło się to trafnie (to znaczy w taki sposób, że do tak czułego interpretatora jak ty dotarł sens tego, o co nam chodziło), lecz także usłyszeć opowieść o własnych wierszach, które zostają umieszczone w bardzo szerokim kontekście tego, co dzieje się w literaturze zarówno tu i teraz, jak i tego, co działo się w niej tam i wtedy. Ma się wtedy poczucie obecności własnego utworu w tradycji poetyckiej. To nie zdarza się współcześnie nawet wtedy, kiedy czyta się dobre i wnikliwe recenzje tomów poetyckich. Wspomniane poczucie obecności daje już chyba tylko twoja cotygodniowa audycja. W tym, co czynisz, jest też coś z socjologii literatury – coś niezwykle szlachetnego.

Opowiem państwu anegdotę. Nie ukrywam, że doświadczenie tego wydarzenia bardzo mnie kiedyś załamało. Jadę sobie pociągiem. W przedziale siedzi pewna osoba, której osobie nie znam, ale wiem, że jest to ktoś bardzo blisko związany z redakcją „Tygodnika Powszechnego”, osoba chyba już na emeryturze, więc nieuczestnicząca w bieżących pracach redakcyjnych. Ten ktoś wyjmuje w pewnym momencie z teczki trzy czy cztery zaległe numery tego czasopisma (było to w tych latach, kiedy w „Tygodniku Powszechnym” ukazywało się bardzo wiele wierszy). Patrzę na tę osobę, jak czyta swoją gazetę. Robi to nieprawdopodobnie wnikliwie z jednym wyjątkiem. Kiedy widzi tekst podzielony na wersy, natychmiast przewraca kartkę. Traktuje wiersze albo jakby ich nie było, albo jak zapchajdziurę. Dlatego właśnie to, że w swojej audycji pozwalasz tekstom poetyckim zaistnieć tak, jak na to zasługują – dzięki niej mogą one wybrzmieć w uszach czytelników, a potem swobodnie oddychać w ich umysłach – uważam za rzecz ważną i przepiękną.

Kiedy zastanawiałem się, co powiedzieć podczas dzisiejszego wieczoru, chciałem najpierw porządnie podzielić swoje wystąpienie i omówić na wstępie twórczość radiową, potem eseistyczną, wreszcie poetycką. Zdałem sobie jednak sprawę z tego, że w wypadku Wacława Tkaczuka nie da się tego zrobić. Kilkakrotnie cytowałem już w różnych okolicznościach wypowiedź Artura Międzyrzeckiego, z którym kiedyś zasiadałem w jury jednej z nagród poetyckich – ale ta okazja wydaje mi się najwłaściwsza do tego, żeby tę kwestię przypomnieć. Nagradzaliśmy wówczas jednego poetę – zresztą obecnego dzisiaj na tej sali – Nagrodą im. Barbary Sadowskiej. Wtedy właśnie Artur Międzyrzecki powiedział pięknie o tej osobie: „on pisze z wnętrza poezji”. Z Wacławem Tkaczukiem jest właśnie tak samo. Wszystko, co mówi i redaguje w radiu, wszystko, co pisze jako krytyk, eseista i poeta, pochodzi – w najgłębszym sensie – „z wnętrza poezji”.

Właściwie nie powinniśmy się skarżyć. Czasem mówimy: człowiek o tak nieprawdopodobnej wrażliwości poetyckiej i tak ogromnej wiedzy właściwie nie napisał książki o poezji polskiej. Ale przecież kolejne odcinki audycji Wacława Tkaczuka są istniejącą historią polskiej poezji – spisywaną z jednej strony trochę na bieżąco (chodzi w końcu o wiersze z gazet i czasopism), z drugiej zaś gwarantującą życie tym tekstom w tradycji poetyckiej. Sposób, w jaki Wacław Tkaczuk mówi w swojej audycji, wskazuje na to, że autor preferuje słowo pisane. Takie przynajmniej wrażenie wywiera to na słuchaczach. Zdają sobie oni sprawę z tego, że chodzi o napisane eseje. Jeśli rzeczywiście tak jest, a wszystko na to wskazuje, to mogę mieć tylko prośbę, żeby pan Wacław Tkaczuk zebrał te teksty, nie poddawał ich żadnej selekcji (nieważne, ile liczą stron) i wydał je jak najszybciej.

W radiu, które stało się dziś dziedziną słowa kolokwialnego, istnienie takiej enklawy dla słowa pisanego w audycji pana Tkaczuka wydaje się bardzo potrzebne i ważne. To skolokwializowanie radia, które oczywiście stanowi o jego uroku, powoduje jednocześnie, że stajemy przed zagrożeniem trywializmu mowy. Dochodzi do tego niemal we wszystkich programach radiowych. Ta szczepionka starannego słowa, którą Wacław Tkaczuk wprowadza do radiowego krwiobiegu, okazuje się w tej sytuacji bezcenna,

ponieważ nie pozwala zapomnieć o biegunie mowy spisanej, uporządkowanej. Audycja pana Tkaczuka chroni ją w miejscu, w którym króluje słowo kolokwialne.

Zarówno Iwona Smolka, jak i sam Wacław Tkaczuk mówili już dzisiaj o tym, że mistrzem dzisiejszego jubilata był Czesław Zgorzelski. To, że chodzi o tę właśnie osobę, nie jest rzeczą przypadku. Profesor był autentycznym mistrzem hermeneutyki. Rozumiał doskonale, że podstawowym atomem literatury jest utwór (pojedynczy, konkretny wiersz). Niektórzy ludzie uważają, że o dziele można mówić dopiero w wypadku książki poetyckiej. To prawda, często tak się zdarza. Częściej jednak dominantę tomu stanowią zaledwie trzy lub cztery utwory, ale za to są to teksty poetyckie naprawdę niezwykłej rangi. Skupienie uwagi na wierszu – poprzez pośrednictwo czasopisma, a później radia – jest aktywnością pokrewną temu, o czym przed chwilą mówiłem, a jednocześnie praktyką bezcenną.

Zastanawiałem się, jak można było uznawać równocześnie za swoje autorytety profesora Czesława Zgorzelskiego (którego nie znałem wprawdzie osobiście, ale za to znałem dobrze jego teksty) – mistrza hermeneutyki ściszonej, mistrza filologii – oraz ekstatyków Juliana Przybosia czy Zbigniewa Bieńkowskiego. Myślę, że maksymalizm oraz entuzjazm Przybosia i Bieńkowskiego z jednej strony, z drugiej zaś filologiczny ład i spokój Zgorzelskiego to bieguny, pomiędzy którymi po dziś dzień rozpinają się twórczość Wacława Tkaczuka i jego myślenie o poezji.

Znalazłem kiedyś bardzo wczesny tekst jubilata opublikowany w „*Twórczości*” we wrześniu 1967 roku. Ukazał się w prestiżowej i do dziś ważnej rubryce tego czasopisma *Książka miesiąca*. Był omówieniem jednego ze znakomitych tomów esejów Zbigniewa Bieńkowskiego *Poezja i niepoezja*. W tym tekście, którego nie mogę tutaj dokładnie streszczać, wiele miejsca zajmują rozważania nad entuzjastycznym podejściem do twórczości poetyckiej (wiadomo, jaki pod tym względem był Bieńkowski – odkrywał arcydzieła i geniusza poetyckiego mniej więcej raz na miesiąc, w dziedzinie prozy dorównywał mu pod tym względem tylko Henryk Berezka) oraz nad filologiczną rzetelnością. Ów tekst autorstwa bardzo młodego Wacława Tkaczuka kończy się sformułowaniem zobowiązania do pójścia właśnie tą drogą. Z pewnością jubilat dotrzymał słowa i spełnił obietnicę daną sobie i innym. Najważniejszym tekstem eseistycznym Wacława Tkaczuka jest szkic o niezwykle nośnym tytule *Czy poezja przetrwa?* To tekst opublikowany w Mikołowie w czasopiśmie „*Arkadia. Pismo Katastroficzne*”. Posiada on wszystkie cechy eseistyki jubilata. Jest tekstem przedziwnym. Dlaczego? Mamy tu do czynienia z eseistyką, która z dziedziny myśli robi dziedzinę poezji. Te myśli są umyślnie meandryczne, pełne dygresji. Nieco później, w tym samym piśmie ukazał się tekst o Rafale Wojaczku. W tym szkicu dygresje są również ważniejsze od głównego wywodu.

W pierwszym ze wspomnianych esejów jest kilka przejmujących zdań. Jedno wiąże się z tym, o czym mówił dziś Wacław Tkaczuk, a mianowicie – dla kogo właściwie pisze. Te zdania są tak piękne, że muszę je państwu sparafrazować. Autor przedstawia tam katastroficzną wizję, w której poezja istnieć będzie jedynie w przestrzeni między komputerem a komputerem, między odtwarzaczem a mechanicznym powielaczem.

Wacław Tkaczuk natychmiast jednak uchyla tę wizję i powiada tak: jeżeli w tej wymianie poetyckiej będzie uczestniczył świadomie choć jeden człowiek (rzeczywisty czytelnik lub słuchacz), to prędzej czy później napisze on wiersz, być może okaże się poetą. Jeśli będzie sam, jeden jedyny, to znaczy nie znajdzie kogoś drugiego, komu mógłby dać wiersz, dać siebie z wiersza, to wtedy wymyśli Boga, swoje najważniejsze Ty. To będzie nowy moment zwrotny. To jest jedna z odpowiedzi Wacława Tkaczuka – niby minimalistyczna, a przecież najbardziej maksymalistyczna z możliwych, na pytanie, czy poezja przetrwa. Na końcu tego szkicu pojawia się jednak cień sceptycyzmu. Wydaje mi się on jednak mniej ważny niż to, o czym przed chwilą państwu powiedziałem. W emitowanym niedawno *Portrecie jubileuszowym* Wacław Tkaczuk mówił o tym, czym jest dla niego jego prywatna eschatologia. Jubilat stwierdził, że chciałby jeszcze jak najwięcej przeczytać, szczególnie wierszy, bo tam – poza tą najważniejszą granicą – będą kolory i muzyka, ale chyba nie będzie słów i poezji. Dlaczego? Ponieważ tam będziemy słuchać słowa bezpośredniego, tego, które nie potrzebuje słów poszczególnych i nie potrzebuje metafor. A teksty samego Wacława Tkaczuka to przecież poezja nadzwyczaj zmysłowa i zmetaforyzowana. Pomędzy tymi poetyckimi słowami, czasem niemal barokowymi – w najlepszym tego słowa znaczeniu – a bezsłowiem, tym domniemanym uciszeniem, słowem największym, a zarazem już nieludzkim, które jest nieludźkością boską i człowieczą, rozciąga się cała twórczość jubilata. W drugim tomie Wacława Tkaczuka zatytułowanym *Co z ognia – co z wody* jeden z wierszy kończy się dialogiem wewnętrznym. Ów dialog jest dla mnie niezwykle przejmujący. Brzmi następująco:

„– Co z tobą?

– Cierpię na symbole.

– Gdzie się tego nauczył?

– Tam, gdzie byłem”.

Jeśli poezja jest sztuką symboli, a jest nią nawet ta, która preferuje konkret, to okazuje się, że te symbole są w gruncie rzeczy cierpieniem. Być może kieruje się ono ku temu słowu, które już nie będzie potrzebowało symboli, zwraca się ku słowu ponad słowami. Gdzie nauczył się tych symboli ktoś, kto – jeśli tak wolno powiedzieć – na symbole cierpi? Tam, gdzie był. W życiu. Nauczył się ich całym życiem. To jedno z najgłębszych soliloquiów poetyckich, jakie kiedykolwiek czytałem.

Teraz podam kilka informacji czysto porządkowych, chociaż Iwona Smolka już je prezentowała. Najpierw ukazał się tomik *Skrzydło liścia* (Warszawa 1970), potem wyszła drukiem książka poetycka *Co z ognia – co z wody* (Warszawa 1977). Teraz na publikację czeka maszynopis nowego tomu *Wypisują się z Księgi Guinnessa*. Najpóźniejsze wchodzące w jego skład teksty powstały – jeśli się nie mylę – około dziesięciu lat temu. Jest w tych tomach bardzo wiele wierszy niezwykle mi bliskich. Wacław Tkaczuk powiedział w audycji jubileuszowej o swojej poezji coś bardzo ciekawego. Stwierdził mianowicie, że jest nieufny wobec przyrody. Początkowo ta deklaracja zabrzmiała bardzo dziwnie, ale autor starannie się z niej wytłumaczył, mówiąc o dziecięcym urazie. Mały Wacław Tkaczuk dotknął kwiatka na łące, z którego wyleciała pszczoła i natychmiast

uządlila chłopca. Poczucie przyrodniczego piękna skojarzonego z bólem jest leitmotiwem pierwszego tomiku *Skrzydło liścia*, a częściowo także i drugiego. Bardziej jeszcze przejął mnie inny motyw o podobnej zawartości zmysłowo-symbolicznej – to poetycki obraz trawy przecinającej usta. Powtarza się on aż w dwóch wierszach. Podobnie jak w pierwszym wypadku przyroda skojarzona jest tu z bólem. To jeden z bardzo subtelnych kluczy do tej poezji. Żałuję, że nie mogę w tej chwili rozwinąć tego wątku.

W tomiku *Wypisuję się z Księgi Guinnessa* jest też wiersz, który bardzo mnie poruszył, zatytułowany *Piosenka z Forum Romanum*. Ten tekst różni się od poprzednich poetyką, a jednocześnie jest świadectwem niezwykłych możliwości poetyckich Wacława Tkaczuka. To, moim zdaniem, jeden z najpiękniejszych współczesnych norwidowskich wierszy. To, co teraz mówię o poezji jubilata, stanowi przygotowanie do *clou* mojego wywodu. Dawno temu, ale nie będąc już dziećciem, kupowałem każdy numer „*Twórczości*”. Jeden z nich nabyłem w grudniu 1976 roku, a następnie przeczytałem w tej edycji czasopisma kilka wierszy niejakiego Wacława Tkaczuka. Te teksty wydawały mi się i wydają mi się także i dziś – ponawiam ich lekturę co jakiś czas, zrobiłem to także przed dzisiejszym spotkaniem – fenomenalnym osiągnięciem poetyckim. Okazało się, że tych wierszy nie ma w żadnym z tomików Wacława Tkaczuka. Zdumiony odkryciem, zadzwoniłem nawet do autora, żeby się upewnić, czy czegoś nie prześlepiłem. Ponieważ sam Wacław Tkaczuk jest bardzo przywiązany do publikacji tekstów w czasopismach, śmiem twierdzić, że te sześć wierszy to najpiękniejszy tom poetycki Wacława Tkaczuka publikowany w formie prasowej. Bez wątplenia zostaną one w liryce polskiej. Te wiersze oszołomiły mnie do tego stopnia, że nie znając jeszcze wtedy ich autora i nic o nim nie wiedząc, zacząłem szpetnie podejrzewać, że to są utwory jakiegoś znanego poety, który posługuje się pseudonimem. Miałem nawet kilka kandydatur. Do dzisiejszego dnia nie potrafię poradzić sobie z tymi tekstami, dlatego są dla mnie tak piękne. Te wiersze są całkowicie irracjonalne.

W jubileuszowej audycji radiowej pan Wacław Tkaczuk powiedział, że poezję może pisać jedynie wtedy, kiedy jest zakochany – co jak stwierdził, ale nie mam pewności, czy to prawda, w tej chwili nie wchodzi w grę – albo wtedy, gdy choruje. Pierwszy z wierszy wygląda na taki, który był pisany w gorączce. Takie teksty, w których dochodzi do głosu podświadomość, okazują się najpiękniejsze. Tym wyznaniem wiary w poezję Wacława Tkaczuka chciałbym zakończyć moją wypowiedź i poprosić jubilata o przeczytanie tego pierwszego wiersza.

Wacław Tkaczuk: Bardzo dziękuję Piotrowi Matywieckiemu. Nie spodziewałem się, że istnieje tak wnikliwy czytelnik tekstów rozproszonych. Cieszę się, że padło tu nazwisko Juliana Przybosia, którego nie zdążyłem wymienić. To dla mnie postać fundamentalna. Nie wyobrażam sobie ani poezji polskiej, ani swojego pisanie i funkcjonowania bez Juliana Przybosia. Na mojej półce z najważniejszymi książkami zgromadziłem po sąsiedzku dzieła: Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cypriana Norwida, Bolesława Leśmiana i Juliana Przybosia.

Będę wdzięczny, jeśli pan Andrzej Ferenc przeczyta wiersz z cyklu, o którym mówi Piotr Matywiecki.

Andrzej Ferenc:

Jak drzy pośrodku miasta dzika jabłoń...!
Pomnik owoce z niej otrząsa mieczem:
(W pustych tramwajach zakrzyknęło światło).
Penicylino, fałszywą łzą koisz i leczysz!
Kto przeszedł? Sen mąci już umysł i hasło –
Czy i to udać się może bez Światowida zgody,
aby w rzece ostygłej nurzając chustę krasną,
nie poruszyć ni reflektora, ni wody? – –
Kołysance metali do wtóru nucą ziola,
kurz księżycowy na ekranach niecąc.
(Podpłomyk się spalił, rozkruszył się kołacz):
Gaśnie telewizor, gdy drzwiami targa przeciąg.

Rozmazać by i rtęć, tknąwszy ją zapałką –
Iglę kompasu wyrwać z żywej jeszcze rany –
Że zbuntuje się, zbiesi się węgiel czy biało? –
A pierwsze sny, to wolno było tuczyć tranem?
Żeś zdrowy, rozgłoszą cyferki w rubrykach,
brzydząc jakieś dziecko, dotknięte anemią.
(Sól trzeba solić? Niech to zrobi fabryka):
Byleby flesz nie zagasł, bo wszyscy się przeziębą.

Iwona Smolka: Andrzej, przeczytaj jeszcze kilka wierszy.

Andrzej Ferenc:

Za dużo skrótów wszędzie:
do gardła skacze
neonowa grypsera,
szkoda gadać, wystarczy
wiązać. Różności
trochę się uchowa
i w skrócie: tydzień,
miesiąc przeleci,
jak z bicza
trząst, i trudno
nawet prosić,
żeby nie po oczach, jeśli
to w białych wierszach.

Skrót – krew.
Skrót – ekran.
Skrót – koło.
Skrót – perła. Wiadomo,
na skróty zawsze dalej.

W szczęśliwej pomyłce
wszystko się zgadza: rok
nie wyrok, nie trzeba
wiary, by ruszyć z miejsca
górze etymologii i pójść
z nią w hołubce, od tego
skok zaczyna
każdy małolat.

Straszny rok – i to się zgadza.
Kogo wybierze,
ten dowie się o tym
i po pijanemu, i po-miłości...

Zawsze tylko o miłości.
Zewsząd migoce listek
trójjedyny. Czy
wielka byłaby to radość,
gdyby jednym, przypadkowym
spojrzeniem wyłowić od razu
czterolistną koniczynę? Większa
od dłoni, cheszącej kępę
za kępą? Nie tędy
wyciągam rękę do ciebie.

Od szczęścia silniejszy
jestem. Spróbujmy
czyje ramię szybciej
motyl od ziemi oderwie.

To walka o kotłuskę:
nie było cię przy tym,
gdy pierwszy węzeł
wiązał moje kości.

Wszystko – w naszych rękach.

Serce dłoń splewia. Na osi,
do której jeszcze nikt noża
nie przykłada w kosmicznych
wiklinach, listek do listka
się klei, gdy topię oczy w delcie,
bijącej u rozwiązanego źródła.

I Bóg nie spojrzy na nas
inaczej, jak przez palce. Pięść
nas omija. Białe ślad
wypalimy w powietrzu. Po tym
poznają, że nas nie było.

Na wargach wciąż ta sama
kropla krwi, zebrana w łęku
z dłoni poranionej trawą,
gdy, szalony, inicjał swój
wiązałem w zieleni przed laty.
O jakiej to jeszcze godzinie
liść każdy przykłęka na fali
i z wnętrza liścia woła prorok?

Zmarniały te skrzydełka,
com je brał ze drzwi
hotelu i magazynów.
Na szczęście, są protokoły:
od słowa do słowa, byle
dalej, gdziekolwiek,
metrykę zamienić
na pyskówkę, sakramenty
pomylić, nie wiadomo,
co z ognia – co z wody.
Wciąż kwili ten sam sygnał
w słuchawce, dyndającej
na umazanym sznurze.

I to wpiszą w protokół: już
nie tylko matka widzi, jak

rodzi się wraz z dzieckiem
dziwadło.

Monogramy, refreny, tego
przynajmniej nie spisywać.
Lepiej zażądać wizytówki: ja,
obwiniony o miłość, której
już dosyć, wystarczy. A moje
wątpliwości, czy u czcionki
wyłamanej czuwając, spiję się
jak śliną, słowiczym trelem?
I z tego łyka można by wypłatać
chodaki-cichostępy. I w kłus.
Aby zmylić melodyjkę.
Zgryźć ją, luzując węzeł.

Wydawało mi się, że to jeszcze
nie wszystko, że mogę drzeć
o każdy promyk,
nie wybierając, że
wystarczy rozsunąć
włókna kamienia,
by jaśniej od koron,
świec, koralu
gorzała paproć
i spod progów
ołtarza; w jej sukienkę
starganą, jak w sztandar,
ramię i ją przystroję...

W sterylnym łażu
usnąłem, by ocknąć się
już z pierwszą kroplą
cudzej krwi w żyłach.

Za dużo tego. Za dużo
o łyk wody
z Bajkału,
o esy-floresy
na drzwiach jurty. Czy

widzisz mnie jeszcze,
matko, spod krzyża?

Zanim o świcie, jak zew
tamtamów, kubły zakrzykną
w rękach ślizgających się
po rosie blaszanej, niech
z przekrwionej żrenicy,
niech z włosów spoconych
wymota się smycz tęczowa:

Nie będę włączył się za tobą, życie.

Gdy tylko ze szczytu
oniemiałego gromu
wезде gwiazda
zaranna i ja
pobiegnę pić swoją
zaoszczędzoną
boską gorycz, brata
na oślepe poznam
już także wargami.

Wszystko w cudzystwie młodości,
obawiam się, że na zawsze tak:

Niedziela, bardzo wspaniały
dzień. Inicjał z biblii
na receptę przefruwa.
Od poniedziałku nowe życie:
wykupić leki, wytargować
zaliczkę, palić tańsze
papierosy, nie czekać już
na list, na telefon, pójść
choć ze dwa razy do lasu,
który o sto kroków od domu.

Patrzeć inaczej, przecież
wszystko jest kolorowe, tylko
trzeba zważać, jak to wykleić.

A gdybym poprosił tę brzozę? I
Następną. Gdybym się odważył:

Zlituj się, zlituj. Co roku
moje rany leczysz. Także sny
rozogniasz. Moje ciało
obmywasz. Prześwietlasz mnie,
brzozo. Tyś kielich światła,
z którego piją wszystkie zorze.
Jawy mi przychylasz,
prorokujesz, różgo
strojna. Pocieszasz,
kołysko. Gdy przezroczyta
ręka matki szuka mnie,
rozpleć wartki warkocz
mej krwi. Serce w tobie
złożyłem, może zdołasz
ślepe już palce rozjarzyć.

Iwona Smolka: Proszę państwa, a teraz dalszy ciąg opowieści o jubilecie. W roku 1993 Wacław Tkaczuk otrzymał Złoty Mikrofon. Myślę, że to jedna z najpiękniejszych nagród, jaką może dostać człowiek radia, ponieważ jest przyznawana przez kolegów, którzy tworzą jury. Następnie – w 1994 roku – autor tomu *Co z wody – co z ognia* został laureatem Nagrody Literackiej im. Stanisława Piętaka. W 2009 otrzymał Nagrodę im. Witolda Hulewicza za twórczą kontynuację Hulewiczowskiej tradycji „Teatru Wyobraźni”, czyli Teatru Polskiego Radia, a wcześniej odebrał nagrodę Rady Programowej Polskiego Radia (2004).

Wacław Tkaczuk jest człowiekiem bardzo energicznym, chociaż nie wygląda na taką osobę. Miał swój znaczny udział we wznowieniu w roku 1997 ogólnopolskiego przeglądu słuchowisk radiowych, następnie powstaniu (w roku 2001) Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji Polskiej „Dwa Teatry” w Sopocie, w którego radiowym jury wielokrotnie uczestniczył.

Skoro Piotr Matywiecki wspominał o tym, co go niegdyś oburzyło, to ja opowiem o tym, co mnie kiedyś prawdziwie zaskoczyło. Przywykłam do *Wierszy z gazet i czasopism*, do lapidarności tej audycji, do celności sformułowań, jakie w niej padają, do tego, że w ciągu czterech minut można trafnie opisać czyjąś poezję. Jednak w setnym, absolutnie wyjątkowym numerze „Regionów” (jak państwo widzą, to czasopismo miało duży format – A3) znalazłam siedem stron tekstu Wacława Tkaczuka. Wspomniany szkic traktuje o pięciu liniijkach, które są dedykacją:

„NAJLEPSZEMU Edwardowi Stachurze
(już na Nowym Świecie)

najlepszy Rafał Wojaczek
(jeszcze w Polsce)
1969 rok”.

Wacław Tkaczuk najpierw zbadał bardzo ważny układ graficzny tej dedykacji, potem przeanalizował każde składające się na nią słowo, następnie sprawdził etymologię wszystkich wyrazów, przyjrzał się związkom frazeologicznym oraz składni tych pięciu wersji i zastanowił się, co z tego wynika. Proszę państwa, w tym wypadku mamy do czynienia z pracą detektywa i wirtuozerią analityczną jednocześnie, ponieważ zaprezentowana analiza prowadzi do niezwykłych wniosków. We wspomnianym tekście pojawia się także nawiązanie do filmu o Rafale Wojaczku. Na końcu szkicu została oddana sprawiedliwość Janowi Czopikowi – osobie bardzo ważnej dla Wacława Tkaczuka. Wzruszyłam się, czytając ten tekst. Widać w nim dokładnie, czym jest zarówno wierność przyjaźni, jak i wierność prawdzie.

Wacławie, w twoim ważnym szkicu *Czy poezja przetrwa?* znalazłam takie zdanie: „Życiopisanie to fatum, nawet gdy legitymuje się talentem”. Jak postrzegasz literaturę? I czym jest to fatum? Nią samą? Życiem?

Wacław Tkaczuk: W tym szkicu opowiedziałem się, bardzo zresztą tradycyjnie, za literaturą jako tekstem. Nie neguję wprawdzie radykalnie tego, że „wszystko jest poezją” i że każdy jest poetą. Jednak uważam, że o poezji można mówić tylko wtedy, kiedy się ją czyta, gdy obcuje się z tekstami. To zasada, której chciałbym pozostać wierny. Ideałem byłaby sytuacja, w której wiersz jawiłby się jako rzecz. Daję ci wiersz, daję ci rzecz. Takie urzeczowienie wiersza to wspaniały akt. Jako jego najdonioślejszy przykład przytaczam często okrzyk Jezusa: „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?”. To cytat z Księgi Jeremiasza. A przecież Chrystus na krzyżu nie popisywał się erudycją, nie czynił też żadnych aluzji kontekstualnych.

Dodałbym jeszcze: liczy się nie tylko tekst, lecz także jego artykulacja. W ostatnich latach przekonuję się coraz bardziej, że brzmienie, melodyka słowa, układ spółgłosek i samogłosek są bardzo istotne. Dlatego tak lubię współpracę z aktorami. Nie chodzi bowiem o dopieszczanie tekstu przez samego poetę za pośrednictwem sztucznych zabiegów dźwiękonaśladowczych, ale o osadzenie wiersza w toku mowy i jej intonacji.

Bardzo żałuję, że tak późno – dopiero w tym roku – zająłem się Cage’em i jego kompozycjami. Stosuje on zasadę organizowania przestrzeni muzycznej i słownej wokół elementów podstawowych, pojedynczych dźwięków. Wychodzi z założenia, że w muzyce nie ma ciszy. Może jednak lepiej, że się spóźniłem. Gdyby było inaczej, zmusiłoby mnie to do wielu rewizji. Niedawno na łamach „Tekstualiów” wydawanych przez Dom Kultury Śródmieście i redagowanych między innymi przez panią Żanetę Nalewajkę dyskutowany był problem „Czy awangarda jest jeszcze możliwa?”. Powiedziałbym, że w chwili obecnej stają przed nami pytania: „Czy awangarda jest już możliwa?”, „Czy znów jej potrzebujemy?”. Nie podjąłbym się jednak odpowiedzi na nie w sytuacji, w której jako awangardę rozumiano by działania z pogranicza multimedialności – Cage korzystał zresztą z jej zdobyczy, budząc tym swój niesamowity podziw. Twórca stosował wielośladowy zapis

magnetofonowy – swego czasu technika w Stanach Zjednoczonych nie była w stanie sprostać wymaganiom tego artysty.

Do wspomnianych przewartościowań doprowadziło mnie doświadczenie teatru Grotowskiego. Obejrzenie *Apocalypsis cum Figuris* to jedno z największych moich doznań. W owym czasie byłem po poważnym zabiegu medycznym – pomyślałem wtedy: warto było przeżyć, żeby to zobaczyć i usłyszeć, zaobserwować, jak pracują krtani i przepona. To, co kiedyś złościło mnie w podręczniku Dłuskiej do fonetyki, ujawniło się w najpiękniejszym z możliwych wydań. Na wspomniany trop naprowadziła mnie także praktyka radiowa, dająca możliwość współpracy z takimi realizatorami dźwięku jak Andrzej Brzoska czy Maria Olszewska. Doceniłem – bodaj po raz pierwszy – komputer, który pozwala na śledzenie i kontrolowanie dźwięku na obrazie.

Z dużym zainteresowaniem przysłuchuję się także opowieściom takim jak ta: Józef Czechowicz, kiedy mówił, zaciskał lewą pięść. To przecież coś znaczy. Może Grotowski umiałby mi to wytłumaczyć? Albo logopeda? Takie zachowania, a także ich intencje i cele są dla mnie fascynującą tajemnicą. Pozostawię na chwilę na boku fonetykę i zwrócę się w stronę antropologii kultury. Całe życie pamiętałem zasadę, której nauczono mnie w dzieciństwie – kiedy myje się ręce nie pod bieżącą wodą, nie wolno strząsać jej z rąk. Nie wiedziałem dlaczego. Dopiero po latach wyczytałem, że według baśni huculskiej, kiedy bryzgi wody spadają na ziemię, rodzą się diabła. Właśnie w takich wierzeniach mieszka poezja, a nie w formułach metafizycznych. Urodziłem się w Delatynie – tędy wiedzie droga na Huculszczyznę.

Piotr Matywiecki: Waławie, w twoich wierszach, które mnie zauroczyły, jest splot wszystkiego, o czym mówiłeś: zarówno poetyckiej pracy ciała (krtani, przepony, płuc), jak i sensów antropologiczno-kulturowych. Nie mam co do tego wątpliwości.

Iwona Smolka: Zauważyli państwo zapewne, że Waław Tkaczuk, mówiąc, swobodnie przechodzi z jednej dziedziny do drugiej. To imponujące, ile rzeczy pamięta i przywołuje, jak sprawnie porusza się po ogromnym obszarze kultury, a nie tylko literatury.

Jest jeszcze jedna dziedzina, którą Waław Tkaczuk zajmuje się w radiu. Chodzi o adaptację i słuchowiska. Słuchowisko dokumentalne o Karolu Szymanowskim *Wstęp do pamiętnika* według scenariusza Waław Tkaczuka (w reżyserii Janusza Kukuły) zbudowane zostało w taki sposób, że nie ma w tym dziele ani słowa od autora. Czterdzieści pięć minut wynikających z siebie zdań pochodzi z materiałów takich, jak dzienniki, wiersze, relacje. To słuchowisko jest wielką pracą zarówno dokumentalisty, jak i erudyty, który wie, gdzie można znaleźć najmniejszą nawet wzmiankę czy wiersz poświęcony artyście. W tym dziele usłyszałam po raz pierwszy – aż wstyd się przyznać – głos Karola Szymanowskiego wieńczący całość wspomnianego słuchowiska. W pisaniu tego scenariusza i doborze materiałów znać wprawę krytyka literackiego, który dokonując selekcji, trafnie wartościuje, wie, dlaczego do tych a nie innych tekstów przywiązuje wagę, oraz umie zadbać o kompozycję całości. Najpierw istnieje przecież zamysł takiego słuchowiska. Realizacja koncepcji wymaga umiejętności doboru nasyconych treścią materiałów. Waławie, ile czasu i jak wiele pracy wymaga przygotowanie takiego słuchowiska?

Wacław Tkaczuk: Dziękuję, że wspomniałaś *Wstęp do pamiętnika*. Zależało mi w tym wypadku na zrobieniu słuchowiska, którego dramaturgia pochodzić będzie całkowicie ode mnie. Udało się to dzięki współpracy wielu osób, między innymi Mariana Szałkowskiego, który w lot zrozumiał, o co mi chodziło, kiedy chciałem włączyć do słuchowiska *Pieśń nocy* Tadeusza Micińskiego z wczesnej *III Symfonii* Karola Szymanowskiego pochodzącej z 1916 roku. Wiele pracy w to przedsięwzięcie włożył również Andrzej Brzoska. Jestem dumny z dramaturgii, którą udało się stworzyć, choć nie dodałem od siebie ani słowa.

W aktywności adaptacyjnej zawsze staram się być wierny swoim wcześniejszym wyborom (kryterium ewentualnej radiowości tekstu jest tylko wspomagające). Może to zdecydowało, że najczęściej wracałem do twórczości Jerzego Zawieyskiego i Wiesława Myśliwskiego, wykorzystując przy tym wielogatunkowość ich pisarstwa. Wśród słuchowisk według utworów Jerzego Zawieyskiego znalazły się adaptacje: eseju (*Odwiedziny Fausta*), prozy poetyckiej (*Notatnik liryczny*) oraz opowiadań (*Krzyk w próżni świata*, *Requiem dla nich obu*). Z kolei słuchowiska według utworów Wiesława Myśliwskiego to adaptacja dramatu (*Złodziej*), powieści (*Pałac*) oraz wybranych wątków z *Traktatu o łuskaniu fasoli* (tutaj musiałem dać tytuł od siebie: *Wybierz saksofon, zakotwiczony, oczywiście, w tekście Myśliwskiego*).

W audycji jubileuszowej, do której odwoływał się Piotr Matywiecki, przygotowanej przez Bogumiłę Prządkę, były cytowane dwa listy adresowane do mnie, pochodzące z mojego archiwum. Jeden z nich napisany został w 1961 roku przez Jerzego Zawieyskiego, drugi przez Edwarda Śtachurę w czasie poprzedzającym *Siekierządę*. Z okazji dzisiejszego wieczoru chciałbym przeczytać państwu list – także nieżyjącej już osoby – Ireneusza Opackiego, wybitnego badacza literatury okresu romantyzmu, ucznia profesora Czesława Zgorzelskiego. List jest z października 1968 roku. Odnowiliśmy wtedy kontakty – w tym czasie odbywał się jubileusz półwiecza KUL-u. Tematem korespondencji jest nadinterpretacja. Zawsze staram się pamiętać o tym liście – stanowiącym dla mnie *memento* – i unikać tej ostatniej. Renek Opacki pisze:

„Zresztą takich zabaw [interpretacyjnych] ostatnio kupa wielka. Oto w 4 numerze »Ruchu Literackiego« jest piękna kłótnia Górskiego i Pigoń. Pigoń stwierdził, że w *Dziadach* cz. II gody oznaczają mszę świętą. Górski zaprotestował: przytoczył dziesiątki leksykonów, gdzie gody – 1. święto, 2. uczta. Ale nigdy msza! Pigoń odpisał energicznie: że bardzo ceni leksykony, ale jemu chodzi o Mickiewicza i przytoczył konteksty Mickiewiczowskie, z których jasno wynika, że u niego, Mickiewicza, gody – msza. Piękna rzecz! Rzadko kiedy idiotyczna erudycja dostała takiego kopniaka.

Jeszcze zabawniej było po moim referacie na konferencji leśmianowskiej. Pisałem między innymi o przekształceniu, wyraźnie aluzyjnym, Mickiewiczowskiej *Świtezianki* w *Balladzie dziadowskiej* [Leśmiana], pokazując, że ta sama sytuacja jest u Mickiewicza wystylizowana wedle zasad widowiska baletowo-operowego (kostiumy, tańce, śpiewy), u Leśmiana – wedle zasad wsiowych, szczypteliwych zalotów. Chodziło mi tu o różnicę kategorii estetycznych.

Wstał Jaś Lipski i zaczął dyskutować: że wyobraźnia wyobraźnią, ale tu i tu chodzi o pierdolenie, jakby nie wiedział, że nawet pierdolić się na różne sposoby można i że to też może być ważne.

Mianowicie zaczął cytować straszłą ilość wierszy, w których symbol tańca ma znaczenie właśnie powyższe. I zakonkludował: skoro w jakimś wierszu ten symbol występuje – wiadomo, o co chodzi.

I w tym momencie, gdy sala była oszołomiona Jasiową pamięciówką, z kąta rozległ się ryk Romana Zimanda: »Jasiu, twoja wypowiedź nasuwa mi zupełnie potworną interpretację wierszyka *Tańcowała ryba z rakiem, a pietruszka z pasternakiem*«. To był najgłośniejszy głos na konferencji, utajony protest przeciw ślepej erudycji mechanizującej lekturę poezji. Uczeni zdrętwieli”.

Ścisłość edytorska wymaga, by zaznaczyć, że w oryginale wiadome słowo pojawia się w pełnym zapisie, bez wykropkowania.

Iwona Smolka: Czy dużo masz listów tego typu?

Wacław Tkaczuk: Niedużo, ale trochę się znajdzie.

Iwona Smolka: To materiał na następny tom – tym razem korespondencji. Skoro masz gotowe teksty o poezji – myślę o tych, które prezentowałaś w audycji *Wiersze z gazet i czasopism*, skoro leży przed tobą niewydany tom poezji, skoro dysponujesz listami do opracowania, a twoja pamięć gromadzi tak wiele cennych wspomnień, nie sądzisz, że warto byłoby spisać również te ostatnie? Żyłeś przecież w ciekawych czasach, poznałeś mnóstwo fascynujących ludzi, o których do tej pory pamiętasz. Jeżeli tego nie zrobisz, gdzie pozostanie ślad po tych wszystkich znajomościach i wydarzeniach?

Wacław Tkaczuk: To banalne, ale naprawdę dobrze pamiętam wydarzenia i teksty z dawnych czasów. Tak się złożyło, że od kilku lat zdarza mi się jesienią spotykać przy posiłkach w Domu ZAiKS-u w Sopocie z Tomaszem Burkiem, z którym być może trudno byłoby mi uzgodnić poglądy w niektórych dziedzinach. Ktoś postronny zaniepokoił się: Boże, jak wy unikacie starcia i konfrontacji opinii? Odpowiedziałem: omawiamy czołówki i rozkładówki któregoś z kolei rocznika „Współczesności”. Dotarliśmy właśnie do roku 1967. Mamy więc jeszcze kilkuletni zapas. A równie uważnie i chłonnie czytaliśmy jeszcze kilka innych czasopism. Gorzej byłoby, gdybym musiał sobie przypomnieć, gdzie ukazał się któryś wiersz Marty Podgórnika – ale w tym pomaga mi podręczna bibliografia moich audycji.

Iwona Smolka: Andrzej, proszę o kolejne wiersze.

Andrzej Ferenc:

* * *

Gdy przy sercu, wiadomo,
czarno, gdy przed oczami,
tego się spodziewaj, tak samo,
wtedy, czy do neonu rękę
wyciągnę? W polu rumianek
z najgłębszej bruzdy u miedzy
pozwala niżej jeszcze się pochylić.
Lepszego miejsca już sobie
nie upatrzę, by znaleźć się
z tymi, którym ode mnie

i tak wszystko się należy.

* * *

Tak płynnie - to myśli za mnie
kroplówka w szpitalu. Tak wiele
wiedzą tutaj o mnie, jaki jestem
i jak bardzo mnie nie ma. Jak
tylu, tylu innych. Wszyscy byliśmy
szczęśliwi dłużej niżby się chciało.

BAJKA TEATRALNA, czyli WYPISUJĘ SIĘ Z KSIĘGI GUINNESSA (III)

A śpiewałem rozgłośnie, że to
makietowa ulica, żeśmy
kochankowie z makietowej
ulicy, każdy węgiel można
przesunąć. Nie głodzono nas
tutaj. Dali bigos i ciasto, była
gorąca herbata. Dziękujemy
za agapę. Zza muru
już, zza muru. Jeszcze się uda,
jeszcze będziemy wspólnie
pozować do malowanki na szkle...

Iwona Smolka: Waclawie, przeczytaj, proszę, kolejny wiersz.

Wacław Tkaczuk: Chciałbym przeczytać jeden z tych tekstów, które poświadczają to, że mogę pisać właściwie tylko wtedy, kiedy jestem zakochany. Był drukowany na łamach „Twórczości”. Zawiera także dwa plany, o których wspominałem, związane z poszukiwaniem porozumienia z Bogiem i z samym sobą. Wiersz nie ma tytułu – podobnie jak większość moich tekstów poetyckich. Czasem jednak zdarzało mi się nadawać im znaczące tytuły typu *Mój socrealizm* czy *Piosenka z Forum Romanum*. Stachura powiedział kiedyś, że najbardziej lubi w moich wierszach brak tytułów. Odpowiedziałem na to: no tak, najbardziej w moich wierszach podoba ci się to, czego w nich nie ma. Inna sprawa, że ów brak tytułów jest znaczący.

* * *

Dopóki kwitną pnące róże:
jeszcze w październiku,
najwcześniej w czerwcu...
To będzie czas dla ciebie
i dla mnie, dla nas czas
do wzięcia, miara,

którą odgaduję, jak mnich,
wyliczający narodziny Pana.
(Więc to już było, minęło).
W zatrzęsieniu pnących róż
łatwo o pomyłkę, na zawsze
zaledwie w przybliżeniu
będą święcić się milenia:
jeszcze w październiku,
najwcześniej w czerwcu.

Z ręki Boga wysypuje się
na świat różana drobница, rój
duszynek, których tak wiele,
tak wiele wciąż kamienieje
na rozbielonych plażach,
na rozjeżdżonych drogach,
na rozmytych brzegach rzek,
gdzie roją się szepty migotliwe:
my kochali, my kochali.
Jeszcze w październiku,
najwcześniej w czerwcu
w zwilgłym powietrzu smuży się
hufiec szklitych głosów, klei się
do siebie to kwiecie, otrzęsione
z bujnej gałęzi życia wiecznego.

Pójdź, kwiatku...

Pójdź, duszyczko...

Iwona Smolka: Wacku, bardzo ci dziękuję.

Wacław Tkaczuk: To ja dziękuję państwu serdecznie za tak liczne przybycie na mój wieczór jubileuszowy, który jest dla mnie niczym *coming out* poetycki po bardzo długiej przerwie. Dziękuję Iwonie Smolce, która mnie do tego zachęciła. Dziękuję też Ance Janko i Maćkowi Ciśle, którym zdarzało się kilkakrotnie namawiać mnie do książkowego wydania nowszych wierszy. Dziękuję serdecznie także Piotrowi Matywieckiemu. Jeśli się ma czytelników gotowych bez szczególnej okazji (takiej jak dzisiejsza) do czytania wierszy, to na pewno warto spotkać się nie na Facebooku! Dziękuję wreszcie Andrzejowi Ferencowi, z którym od lat współpracuję w Teatrze Polskiego Radia, nigdy jednak wcześniej przy tak osobistej okazji.

**Jubileusz Wacława Tkaczuka odbył się 19 listopada 2012 roku
w Domu Kultury Śródmieście w Warszawie.**